
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Maria Milewska – *Wspomnienia z Mandżurii*

Szymbark – pociąg do nikąd, do lokomotywy zaczepione wagony. Weszłam do jednego z nich i natychmiast wróciła przeszłość. W podobnym wagonie, ja jako nastolatka z matką i czwórką rodzeństwa jechaliśmy z dalekiej Mandżurii do nieznanego i obcej nam Polski.

Na całej długości umieszczone były dwa rzędy prostych prycz. W wagonie jechały trzy rodziny. Było lato, a w pociągu ciasno i duszno. Naszej sześciuosobowej rodzinie przydzielono część górną, bo przeznaczona była dla sześciu osób, poniżej rozlokowały się pozostałe osoby. Miejsce do spania po złożeniu pościeli, przez całą podróż służyło także do zabaw, przygotowywania i spożywania posiłków. Nie było drabinek, które ułatwiałyby wejście. Dla nas dzieci była to duża frajda wspinać się po nich, podawaliśmy sobie wzajemnie ręce i już w górze. Były to nasze jedyne zabawy, bo innej formy ruchu nie można było realizować. Nasza mama była młoda, więc i jej wspinaczka na pryczę nie sprawiała trudności. Gorzej, gdy na górnych pryczach „zakwaterowane” były osoby starsze.

Oprócz wagonów przewożących ludzi były też wagony, w których znajdował się nasz dobytek, oraz wagony z żywnością. Dwa razy dziennie mama pobierała produkty spożywcze i przygotowywaliśmy sobie posiłki. Na obiady skład zazwyczaj zatrzymywał się w miejscowościach, w których czekały na nas

pożywne dania. W wagonach nie było wody i ubikacji, dlatego podczas postojów, wykorzystywaliśmy każde dogodnie miejsce, aby umyć się wodą przyniesioną w wiaderku przez mamę.

W pamięci utkwił mi Bajkał, jego ogrom, błękit wody i bardzo duża liczba tuneli. W trakcie podróży zachorowałam na ospę wietrzną. Codziennie chodziłam do wagonu sanitarnego na tzw. opatrunki, czyli smarownie pęcherzy niebieskim płynem, stąd wiem, że sanitarka zapełniona była osobami obłożnie chorymi. Opiekowali się nimi harbińscy studenci medycyny.

Jechaliśmy pewni obaw jak sobie poradzimy w nowym kraju, bo oto, drugie pokolenie carskich zesłańców wracało do ojczyzny swoich dziadków. Polska, to była ojczyzna mojej babci i dziadka, a ja urodziłam się w 1937 roku w Harbinie, w Chinach.

Dziadkowie poznali się i pobrali w Zygówce, powiat Jampol w guberni podolskiej, której stolicą był Kamieniec Podolski. Dziadek Stanisław był starszym stangretem we dworze Jaroszyńskich, a babcia, Ludwika z domu Zwierańska była garderobianą. Mieli czterech synów – trzech urodziło się w Polsce, w tym mój ojciec Franciszek w 1910 r., a najmłodszy, który otrzymał imię po dziadku (Stanisław) już na Syberii. Z opowiadań rodzinnych, które są niedokładne i fragmentaryczne wiem, że nie tylko rodzina mojego ojca, ale cała osada zamieszkała przez Polaków została przez cara skazana na zsyłkę w odwecie za niepełny nabór do carskiego wojska. A służba wojskowa w Rosji carskiej trwała 25 lat.

Zesłańcy osadzeni zostali na skraju tajgi w niedalekiej odległości od granicy rosyjsko- chińskiej. Najpierw wybudowali prymitywne lepianki, później z drewnianych bali wygodniejsze baraki, aż przyszedł czas na postawienie samodzielnych domków. Tak rozrosniętą osadę nazwali na pamiątkę Kamieńcem.

Starsi bracia ojca bardzo często przekraczali granicę rosyjsko- chińską i przebywali w Harbinie. Czuli się w nim wyśmienicie ze względu na ogromną liczbę Polaków. Harbin leżał w północno-wschodniej części Chin – Mandżurii. W 1898 r. założył ją Polak, Andrzej Szydłowski na miejscu osady rybackiej nad rzeką Sungari. Powstanie miasta związane było z budową ostatniego odcinka kolei Transmandżurskiej (obecnie wschodniochińskiej), czyli linii kolejowej biegnącej przez całą Syberię. Rosja otrzymała od cesarza Chin zgodę na przedłużenie Kolei Transsyberyjskiej przez Mandżurię. Władze carskie wykorzystywały do pracy politycznych zesłańców, ale ich ilość była niewystarczająca. Dlatego, aby zachęcić ludzi do pracy w bardzo trudnych warunkach, car zaoferował wysokie zarobki, a także możliwość otrzymania ziemi na własność. Wzrost zapotrzebowania na specjalistów i robotników niewykwalifikowanych spowodował napływ ludności różnych narodowości. Oprócz Polaków, osiedlali się w mieście i na jego przedmieściach Chińczycy, Rosjanie, Japończycy, Niemcy, Żydzi, Francuzi.

Polacy mieszkający w Harbinie wiedli wygodne życie, działały organizacje polonijne, kwitło życie towarzyskie, odbywały się koncerty i spotkania. Nie wiem w jaki sposób to załatwiono, ale wszyscy Polacy, którzy mieszkali w osadzie Krzemieniec w Rosji zostali przewiezieni do Harbina. W Harbinie skupiała się największa grupa Polaków. Także w innych miastach i osadach Mandżurii znajdowali się rodacy. Rodzice ojca zamieszkali na przedmieściach Harbinu,

dziadek stopniowo kupował konie i wkrótce został właścicielem niewielkiej stadniny, założył sad oraz gospodarstwo, w którym głównie hodowano bydło. Do prac przy inwentarzu zatrudniał robotników najemnych, którymi byli chińscy. Babcia i najmłodszy syn zajmowali się pozostałymi pracami wokół domu i gospodarstwa.



Harbin – w ogrodzie dziadków

Losy moje i moich bliskich splatają się z historią regionu, w którym przyszło nam żyć. Zanim dziadkowie zmuszeni byli opuścić Polskę na terenie Mandżurii doszło do tzw. powstania bokserów. Jego konsekwencją była wojna rosyjsko-japońska (1904-1905), a następnie wzrost wpływów japońskich. Mandżuria była najbogatszą w surowce mineralne częścią Chin, dlatego też tutaj ścierały się interesy państw ościennych tj. Rosji i Japonii. W kolejnych zmaganiach zwycięstwo Japonii umożliwiło w 1932 r. utworzenie na terytorium Mandżurii cesarstwa Mandżuko całkowicie zależnego od Japonii. Klęska Hitlera i wojsk sprzymierzonych w 1945 r., spowodowała, że Mandżuria ponownie stała się terytorium zależnym od Związku Radzieckiego, a wojna domowa, która rozpoczęła się w latach 1945-1948 w Chinach, doprowadziła do powstania Chińskiej Republiki Ludowej. I tak na przemian w Mandżurii władzę sprawowali Japończycy, Chińczycy i Rosjanie. Zrywy powstańcze, ruchy rewolucyjne były w okresie naszego pobytu codziennością i trudno było osobom niezaangażowanym to wszystko zrozumieć. To samo odnosiło się do dzieci. Nigdy nie wiedziałam mieszkając w Chinach od jakiego państwa byliśmy zależni.

Jedno z takich zawirowań politycznych przyczyniło się do poznania moich przyszłych rodziców. Mama, Buriatka wywodząca się z Zabajkala wyjechała ze swoją siostrą na wycieczkę do Mandżurii i niestety, po zamknięciu granicy

z ZSRR nie mogła już powrócić do Buriacji. Pozostała w Harbinie, poznała mojego tatę, zakochali się i wkrótce odbył się ślub.

Po pierwszym okresie mieszkania w bardzo niekomfortowych warunkach młodzi małżonkowie przystąpili do budowy domu na przedmieściach Harbina. Pierworodny syn zginął tragicznie. Robotnicy pracujący przy budowie musieli naruszyć gniazdo żmii, bo mój malutki braciszek zginął od jadu jednej z ich. Miałam czwórkę rodzeństwa, najstarszy był Antoni, później Emilia i ja, a po mnie urodzili się jeszcze Bolesław i Jerzy.

O napaści Niemców na Polskę rodzice dowiedzieli się w kościele, podczas mszy. Ksiądz przekazał wiernym taką informację. Echa przebiegu działań wojennych, sprawy związane z formowaniem się wojska polskiego na terytorium Związku Radzieckiego znajdowały się w kręgu zainteresowań dorosłych Polaków mieszkających w Mandżurii. My dzieci na tematy poruszane przez dorosłych nie bardzo zwracaliśmy uwagę. Byłam wtedy dwuletnim dzieckiem. Łatwiej kojarzę wydarzenia, które następowały w kolejnych latach. Np. bardzo wyraźnie odczuliśmy zmianę nastrojów i pogorszenie się naszych warunków bytowych po 1941 r, kiedy to Japonia przystąpiła do wojny z USA. Z opowiadań wiem, że część mieszkańców Mandżurii miała obowiązek noszenia specjalnych oznaczeń pozwalających na identyfikację narodowości. Ja takiego faktu nie pamiętam.

W Mandżurii oprócz Harbinu istniały jeszcze inne miejscowości, w których mieszkało dużo Polaków. Jedną z nich było Aszyche, do niej przeprowadzili się rodzice z młodszym bratem, natomiast trójka najstarszych dzieci pozostała w Harbinie. Zdecydowali tak, ponieważ miejscowość, do której się udawali dopiero zaczynała się rozwijać. Brat chodził do szkoły, a ja z siostrą Emilką zamieszkałam w zakonie u polskich sióstr. Im udało się przystąpić do sakramentu I komunii, mnie niestety nie, bo byłam za młoda. Na wakacje jeździliśmy do Aszyche, ale po drugich już nie wróciliśmy ze względu na zawirowania polityczne. Tutaj także musiałam chodzić do szkoły, tylko sytuacja była odwrotna, bo na wakacje jeździłam do dziadków w Harbinie.

Chodziłam do rosyjskiej szkoły, mimo, iż mieszkaliśmy w Chinach. Nauka odbywała się w pomieszczeniu, w którym nie było ławek tylko stoliki i krzesła. Jedno przeznaczone dla nauczycielki, pozostałe dla nas. Uczyłam się języka rosyjskiego, matematyki, a z historii pamiętam, naukę o Leninie. Zazwyczaj pierwszy do szkoły szedł starszy brat, przychodził po 2-3 godzinach, potem szła siostra a ja miałam lekcje najpóźniej. Moimi koleżankami były Chinki, Japonki, Koreanki i Rosjanki. Rozmawiałyśmy między sobą taką mieszanką językową, ja rozumiałam ich język, one rozumiały rosyjski, bo się go uczyły. Język polski był dla nich niezrozumiały. Zresztą w domu niewiele rozmawialiśmy po polsku, natomiast u babci i dziadka był to język podstawowy. Młodzież harbińskich szkół prowadzonych przez polskich duszpasterzy, a także studiująca uczyła się wielu języków, były to między innymi: polski, rosyjski, chiński, japoński, łacina, a także angielski. Dziecięce zabawy, były uniwersalne, bo znane w wielu kulturach i związane głównie z bieganiem, skakaniem, wchodzeniem tam gdzie nie można. Dziewczynki uwielbiały zabawy z lalkami. Mimo tak wielkiego zróżnicowania etnicznego nie było ani między dziećmi ani dorosłymi różnic. Byliśmy w stosunku do siebie uprzejmi, wyrozumieli, szanowaliśmy swoje religie, a przecież to był konglomerat wierzeń od szamanizmu przez buddyzm, lamaizm, prawosławie, judaizm do katolicyzmu.

Nasze domostwa nigdy nie były zamykane. Mimo, że były duże grupy biedoty kradzieże należały do wyjątków. Z pewnością był to wpływ religii wschodnich, ale także i surowego prawa. Za udowodnioną kradzież obcinano palec. Kolejne dwie groziły utratą dłoni, a jeśli to nie skutkowało stosowano karę śmierci. Sposoby jej wykonania były różne. Pewnego dnia my uczniowie musieliśmy uczestniczyć w takiej egzekucji. Była to dla nas tzw. lekcja pokazowa. Więzień został unieruchomiony i przywiązany do konia, który włókł go po miejskim bruku, aż do momentu zgonu. Było to coś strasznego i na długo pozostało w pamięci jako traumatyczne przeżycie.



Moja rodzina

Mama prowadziła dom i zajmowała się nami, natomiast głównym żywicielem rodziny jak to dawniej bywało był ojciec. On to chodził do tajgi i zajmował się myślistwem. Przynosił do domu różne zwierzaki, wiem, że oprowaiał je w specjalnie do tego celu przeznaczonym pomieszczeniu, ale my dzieci nigdy nie widzieliśmy, na czym polegała jego praca. Miał również dużą sforę psów, ale ich opieką zajmowało się trzech Chińczyków. Przy prowadzeniu gospodarstwa pomagało rodzicom wielu pracowników, ale takie panowały zwyczaje, że każdy sobie nawzajem pomagał. Gdy były sianokosy to w pole wychodziły duże grupy mieszkańców i przez cały upalny dzień ciężko pracowały, aby wieczorem z wesołym śpiewem wracać do domów. Mój tata pięknie śpiewał i z ogromną przyjemnością słuchałam jego basu wyraźnie odróżniającego się od innych głosów. Jak na mężczyznę przystało, zimowymi wieczorami robił na szydełku grube rękawice i obszywał skórą czubki, pięty i spód walonek aby-

śmy zimą nie marzli. Mieliśmy owce i dwa beżowe, dwugarbne wielbłądy, z których pozyskiwało się wełnę. Gdy tata zajęty był szydełkowaniem lub szyciem, mama w tym samym czasie przędła wełnę na kołowrotku. Z prac wykonywanych przez rodziców pamiętam także jak przygotowywali nam zeszyty do szkoły. Szary papier, taki do pakowania różnych przedmiotów cięli na mniejsze kawałki formatu zeszytu, przesywali je później nitką a na samym końcu kopiowym ołówkiem rysowali linijki, jeśli to był zeszyt do języka rosyjskiego lub kratki, jeśli do rachunków. Atrament z reguły nosiliśmy do i ze szkoły. Pamiętam, że zimą zdarzały się przypadki, kiedy zamarzała, ale wtedy był to znak, że przez kilka dni nie pójdziemy do szkoły. Zimy były mroźne, często podczas swojej wędrówki do szkoły napotykałam zamarzniętych Chińczyków. Początkowo myślałam, że śpią, a później przyzwyczałam się do tego widoku. Chińczyków było bardzo dużo, wiadomo też że i status ekonomiczny był różny. Nie zamarzły osoby dobrze sytuowane finansowo, lecz ubogie. Przyrost naturalny był bardzo duży. Czasami matki nie wiedziały nawet ile miały dzieci, bo każde, które potrafiło samo zdobyć pożywienie musiało się usamodzielnąć. Chinki bardzo ciężko pracowały przy uprawie kukurydzy, ziemniaków i warzyw. W tym czasie mężczyźni zajmowali się przygotowywaniem posiłków.

Z jednego z polowań tata przyniósł do domu małego niedźwiadka. Nie mógł chodzić, chwiał się na łapkach. Mama go wykarmiła i po naszym obejściu chodził sobie swobodnie. Michał Iwanow, bo tak go nazwaliśmy. Był z nim wspólne zabawy, wybierał się z ojcem na polowania, ale każdy szedł w swoją stronę. Uwielbiał także słuchać patefonu i zrywać kukurydzę. Rodzice nie byli właścicielami pól z kukurydzą, dlatego tata bardzo często musiał płacić za te zniszczenia. Miał jakieś 4-5 lat, gdy przez ludzką głupotę umarł.

Z ogromnym sentymentem wspominam naszą banię, która stała za domem. Było to odrębne pomieszczenie, pośrodku którego znajdowała się budowla z kamieni – piec, w którym palono drewnem i rozgrzewano do czerwoności a następnie wylewano na niego wiadrami wodę ze stojącej obok beczki. Buchająca para była cudowna, ciepłutka, oczyszczająca. Na przeciwnej do wejścia ścianie umieszczone były ławki, na których wygodnie rozciągnięci z rozkoszą się wylegiwaliśmy i poddawaliśmy działaniu pary. Po takim krótkim błogostaniu nadchodził czas smagania ciała witkami brzożowymi, których cały zimowy zapas został przygotowany jesienią. Tak rozgrzani wycieraliśmy się do sucha a zimową porą czekali na ojca, który po owinięciu nas w skóry pojedynczo prznosił do domu.

Był 1944 rok. Mieszkaliśmy niedaleko lotniska, więc wciąż byliśmy świadkami odbywającego się powietrznego transportu żywności i ludzi. Pewnego pięknego, słonecznego dnia, Japończycy zarządzili obowiązkowe stawienie wszystkich mężczyzn na pobliskim dworcu. Osoby posiadające konie mieli je ze sobą zabrać. Gdzieś w oddali słychać było nieliczne odgłosy wystrzałów. Gdy nadeszła noc, mama wraz z pozostałymi kobietami i dziećmi schroniła się w pobliskim lesie. Tam spędziliśmy noc obawiając się bombardowania naszych osad. Rankiem następnego dnia prawie wszyscy wróciliśmy do domów. Na stole znaleźliśmy kartkę od ojca z informacją, że nic mu nie jest, mamy się nie bać i że wszystko będzie dobrze. Krzątając się wokół domu, mama zaszła do bani i okazało się, że w niej ojciec zgromadził dla nas zapasy. Domyśliliśmy się, że przewożąc żywność z lotniska albo na lotnisko trochę

zostawił jej dla nas, bo nieznana była przyszłość. Na drugą noc nie poszliśmy do lasu i to było nasze wielkie szczęście, bo właśnie tej nocy Japończycy zbombardowali ten obszar tajgi.

Słabo też pamiętam wydarzenia związane z działalnością chińskich band nazywanych przez Polaków hunhuzami. Skład ich był różny, najczęściej byli to chińscy chłopcy, żołnierze i zesłańcy, a ich głównym zajęciem było organizowanie i przeprowadzanie napadów rabunkowych. Początkowo celem byli podróżni i pociągi, a później także osady. W obronie przed licznymi oddziałami liczącymi czasami kilkaset osób, miasta i osady wystawiały straż, której zadaniem było ostrzeżenie mieszkańców przed nadchodzącym zagrożeniem oraz walka z rabusiami. Mój ojciec do jednej z takich straży należał. Broń, którą zabierał na polowania do tajgi jak i na nocne patrole, znajdowała się w przedpokoju. Pamiętam doskonale tę broń, bo zmowa milczenia za przewinienie starszego rodzeństwa kosztowała mnie kłapsa. Był on tak dotkliwy, że do dziś go czuję, ale nie ze względu na ból tylko zaskoczenie. Byłam oczkiem w głowie tatusia, nigdy niekarana, nagle poczułam pieczenie na pupie, bo przecież nie wydałam rodzeństwa, które wykorzystało naboje do świetnej zabawy polegającej na przygotowaniu czegoś w stylu petardy, które wrzucane były do wody lub pod nogi przechodzących Chinek.

Pewnego grudniowego dnia 1945 roku pojawiła się w naszym domu obca kobieta i tata kazał nam iść bawić się na dwór. Gdy wróciliśmy pierwsze, co nas ogromnie zdziwiło to przyjemne ciepło rozchodzące się po mieszkaniu i mama leżąca w łóżku. Mama, która zawsze chodziła nagle leży w łóżku. Ale nie było czasu na zastanawianie się dlaczego, bo ta obca kobieta powiedziała, że pod naszą nieobecność był w domu Mikołaj i coś nam zostawił. Była to taka duża lalka. Każdy z nas chciał ją wziąć na ręce i wtedy tata powiedział, że to jest nasz braciszek.

Ustabilizowane i dostatnie życie naszej rodziny, jednej nocy zawaliło się, wiosną 1946 roku ojciec nie wrócił z tajgi. Nie wiadomo, co się stało. Gdy zabrakło taty nadszedł dla nas bardzo ciężki okres, pojawiła się bieda. Mama została z 5 dzieci sama, nie mogła liczyć na wsparcie siostry, bo ciocia Eliza wkrótce po wyjściu za mąż zachorowała, prawdopodobnie na gruźlicę i zmarła. Chińczycy zaczęli zwalniać obcokrajowców, w tym Polaków propagując hasło, że Azja ma być dla Azjatów. W takiej sytuacji mama pracowała dorywczo, nie odrzuciła żadnej propozycji pracy. Brat czternastolatek pracował przy miechach w kuźni. Mieliśmy krowę, od czasu do czasu wspomagali nas Chińczycy jakimś workiem ziemniaków, sianem lub kukurydzą. I tak jakoś toczyło się nasze ubogie życie. Pamiętam pierwsze bez taty Boże Narodzenie. Zwykle spędzaliśmy je u dziadków w Harbinie, ale teraz nie było mamy stać na dwunastogodzinną podróż z gromadką dzieci. Upiekła z kukurydzy chleb i w jakiś cudowny sposób zdobyła żółty ser. I ten ser i chleb z kukurydzą to był nasz świąteczny przysmak. Przed oczami miałam Boże Narodzenie u babci, gdzie stoły uginały się od jedzenia. Zawsze było gwarno i wesoło. A nam było smutno i biednie.

Na początku 1949 roku mama zaczęła się źle czuć. Przez jedną z zamożniejszych Polek udało się wystarać o przyjęcie do szpitala w Harbinie. Starsza siostra przejęła obowiązki opieki nad młodszym rodzeństwem, a ja z mamą udałam się w podróż. Już na dworcu podczas przypadkowej rozmowy dowiedzieliśmy się, że przyjeżdża przedstawiciel z Polski i spisuje osoby zaintereso-

wane wyjazdem do kraju. Podczas pobytu w szpitalu mama spotykała się ze stryjami i chyba podczas tych rozmów zdecydowano o wyjeździe z Mandżurii. Mama posiadała obywatelstwo radzieckie, my polskie, dlatego w takim stanie prawnym nie mogliśmy dostać zgody na wyjazd. Uradzono, że mama zawrze związek małżeński z bratem żony jednego ze stryjków i w ten sposób uzyska obywatelstwo polskie.

Po powrocie do Aszyche rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu. Mama starała się spieniężyć nieco majątku, ale Chińczycy nie byli zainteresowani kupnem czegokolwiek. Doskonale wiedzieli, że i tak musimy prawie wszystko zostawić. Zjedliśmy ostatni obiad i oglądając się za siebie poszliśmy na dworzec kolejowy. Zostawiliśmy na zawsze dom, zabudowania gospodarcze, ogród pełen kolorowych kwiatów i inwentarz, w tym ukochaną przez mamę krowę, która chodziła za nią jak piesek. Żegnaliśmy się z miejscem a towarzyszyła nam piękna słoneczna pogoda, która jakby na złość podkreślała całe piękno przyrody, które przyszło nam utracić. Nie myśleliśmy wtedy o głodzie, biedzie, nawet jeszcze nie odczuwaliśmy niepokoju przed nieznanym, ale patrzyliśmy na dorobek naszych rodziców. Dom, który kupili i zamieszkali znajdował się na wzgórzu na skraju miejscowości. Był drewniany, a kolorowe okiennice na tle zielonych drzew tajgi nadawały temu miejscu bajeczny wygląd. W dolinie płynęła rzeka, wokół rozciągały się soczysto zielone trawy, którym towarzyszyły niebieskie niezapominajki.

Rano następnego dnia byliśmy już w Harbinie. Wyjechaliśmy pierwszym i najliczniejszym transportem. Razem z nami, ale nie w tym samym wagonie jechała babcia z najstarszym i najmłodszym synem. Stryj Karol z rodziną przyjechał do Polski trzecim transportem. Z punktu repatriacyjnego w Białej Podlaskiej skierowani zostaliśmy do Elbląga. I w tym mieście każdy z nas dorastał, kształcił się, zakładał rodziny.

Jestem dumna ze swojej matki za Jej odważną decyzję, bo wiem jak trudno było ją podjąć i zaryzykować życie w nieznanym kraju, bez znajomości języka z piątką niepełnoletnich dzieci. Mimo, że od wielu lat nie żyjesz, składam Ci Mamó hołd. Dziękuję.

Halina Ziemińska – Wspomnienia z dzieciństwa

Pierwsze dni lutego 1940 r. Miałam wtedy 5 lat i jeszcze razem z rodzicami i rodzeństwem mieszkam w koloni Suszki, gmina Wierzchowice, powiat Brześć Podlaski później nazywanym Brześć nad Bugiem. Po agresji ZSRR na Polskę 17 września 1939 roku i przyłączeniu naszych najbliższych okolic do ZSRR, oddaleni byliśmy od Polski o około 1,5 km.

Nie wiem, która mogła to być godzina, ale mamusia nas budziła. Zaczęło się wysiedlanie nas z rodzinnego domu. Domu wybudowanego przez rodziców, którzy pobrali się w 1924 r. i wspólnymi siłami dorabiali się majątku. Nocni przybysze mówiący po polsku tatusia postawili pod ścianą, enkawudzista z karabinem go pilnował a mamusi kazali się pakować. Mama nas ubrała, wzięła pierzyny, trochę najpotrzebniejszych rzeczy do przeżycia. Nadzorcy rosyjscy kazali wsiadać do sań i zawieźli całą naszą sześcioosobową rodzinę do Brześcia. Za

nami pozostały zabudowania gospodarskie (dom, spichlerz z oborą) oraz dom w Wierchowicach, w którym miała być apteka. Ten dom do dnia dzisiejszego tam stoi, mieści się w nim białoruskie kino.

W Brześciu na stacji kolejowej czekaliśmy na podstawienie pociągu. Nie byliśmy jedynymi, których wywożono. Z naszej rodziny deportowana była także siostra tatusia i jej rodzina, czyli mąż i pięciu synów. Szósty syn, którego nie było podczas aresztowania pozostał w Polsce. Z sąsiedniej koloni Kornatów zabrano naszych bardzo dobrych znajomych – Kawów. Z opowiadań wiem, że zima była wtedy wyjątkowo mroźna, napadało dużo śniegu. Zwykle luty daje o sobie znać, nie na darmo polskie przysłowie mówi „Idzie luty, obuj buty” Tak też odczuwaliśmy zimową noc, mróz dokuczał nam bardzo, pamiętam, że bardzo szczypała mnie buzia i trudno było oddychać przez nos. Mamusia okręciła nam twarze szalikami, aż po same oczy. Mimo, że jako dzieci dużo czasu przebywaliśmy na zabawach na świeżym powietrzu i mróz nie był nam straszny, tej nocny bardzo nam dokuczał.

Czekając na załadunek do pociągu rodzice wraz z innymi towarzyszami niedoli starali się zrozumieć zdania, które zaowocowały pobytem pod gołym zimowym i mroźnym niebem, a które odczytane zostały w majestacie prawa przez głównodowodzącego oficera; „postanowieniem władzy radzieckiej cała wasza rodzina zostaje przesiedlona w inny obwód na terytorium ZSRR”. I nic więcej, gdzie nas wywożą, na jak długo i dlaczego? Były to pytania, na które nie znano odpowiedzi. Poza strachem i niepewnością dorosłych, płaczem zmarniętych dzieci, pobytowi na peronie towarzyszył lament kobiet i złowrogie szeptki pełne najróżniejszych domysłów. Tak groźnie brzmiących, że bano się je wypowiadać głośno. Nie wierzono, że mogą stać się prawdą.

Nie wiem jak długo koczowaliśmy wśród stłoczonej masy ludzi i pakunków na peronie, jeden czy dwa dni? Gdy tylko lokomotywa przyciągnęła wagony zaczął się załadunek. Całe nasze peronowe obozowisko otoczone było przez żołnierzy, którzy nie tylko nas nadzorowali, ale nie dopuszczali do nas nikogo, kto chciał przynieść dodatkowe jedzenie lub ubrania. Po wyczytaniu nazwisk całe rodziny stopniowo zapełniały kolejne wagony. Wnoszono i lokowano posiadane wężełki, tobołki, worki, walizki i inne kłopoty. Zajmowano miejsca.

Z wagonu, w którym jechaliśmy bardzo długo, pamiętam bardzo dużą ilość osób, prycze po dwóch stronach wejścia, piec stojący pośrodku, przy którym ogrzewaliśmy się i wydzielone miejsce na ubikację. Starsi korzystali z tego miejsca samodzielnie, ale nas dzieci, rodzice pilnowali. Zazwyczaj mnie to mamusia a nie siostra prowadziła za rękę. Jako dziecko nie odczuwałam wstydu podczas korzystania z takiej ubikacji, ale wiem, że dorosłe kobiety i dziewczyny bardzo się wstydziły, przecież obok siedzieli obcy ludzie. To skrępowanie towarzyszyło im przez całą podróż. W czasie transportu w naszym wagonie zmarła tylko jedna osoba. Jak długo jechaliśmy nie potrafię określić, w takich warunkach dorośli szybko stracili rachubę czasu. Nie pamiętam też, abyśmy bardzo dotkliwie odczuwali głód. Kres tego etapu nieplanowanej podróży nadszedł, gdy okazało się, że pociąg zatrzymał się w polach i kazano nam wysiadać. Dalsza podróż odbywała się samochodami i saniami. Przez ten cały czas towarzyszył nam śnieg i mróz, ale był on bardziej dokuczliwy niż ten, który pamiętam z Brześcia. Odczuliśmy go bardzo boleśnie, ale dzięki opiece naszej mamusi, która opatulą nas dokładnie, rozcierała zmarznięte ręce i nogi doje-

chaliśmy do miejsca zesłania bez odmrożeń. Dowieziono nas do gminy Uspinga i umieszczono w obozie. Początkowo zamieszkaliśmy w jednej wielkiej izbie, stłoczono nas ze 30 osób. Pamiętam dużo ustawionych łóżek, duży piec na środku i wielki kocioł, z którego parowała woda.

Babcia Wyszomirska, czyli matka mamy, zadała sobie dużo trudu, aby poznać przyczynę naszej wywózki. Okazało się, że stał za nią nasz pracownik. Przyznał się, że wydał Rosjanom rodziców, czyli kułaków, właścicieli 35 ha gospodarstwa. Tatusz Wincenty, pochodził z Siedlec, ukończył w Warszawie szkołę podoficerską i szkołę bankową. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. i po jej zakończeniu skorzystał z 10 ha nadania ziemi przez marszałka Piłsudskiego. Natomiast mamusia wniosła w posagu 10 ha, a pozostałe 15 hektarów dokupili. Do września 1939 r. gospodarzyli, spokojnie powiększając majątek i wychowując pojawiające się potomstwo. Pierworodny urodził się w 1926 r., kolejna dwójka dzieci zmarła w okresie niemowlęcym tzw. śmiercią łóżeczkową. Dopiero siostra urodzona w 1932 roku przerwała złą passę. Drugi brat urodził się rok później, a w 1935 roku ja przyszłam na świat.

Jak wyglądał nasz pierwszy dzień nie pamiętam, dopiero obrazy z późniejszych lat wracają we wspomnieniach, szczególnie te z okresu letnich zabaw, kiedy to mogliśmy się swobodnie poruszać po obozie i poznawać jego topografię oraz zakamarki do kryjówek podczas zabaw w chowanego. Z opowiadań rodziców wiem, że po przybyciu na miejsce zesłania i załatwieniu administracyjnych formalności rozpoczęła się nasza głodowa egzystencja. Ta sytuacja była tym bardziej rozpaczliwa, że bardzo ciężko zachorowałam. Być może odporność nabyta jeszcze w Polsce pozwoliła mi przeżyć, ale rodzice przygotowani byli już na najgorsze.

W początkowym okresie pobytu tatuś pracował głównie jako stróż, bo nie nadawał się do wielu prac ze względu na zupełny brak słuchu, który stracił w wyniku wybuchu bomby na początku września 1939 roku, gdy podwodą zawoził dla polskiego wojska transport amunicji. Opowiadał, że dokładnie nie pamięta czy stracił przytomność i co się stało. Poczł tylko szum w uszach, i zobaczył obok siebie powstały wielki lej po bombie. Od tamtego czasu nie słyszał, ale rozumiał co do niego mówiono, bo potrafił czytać z ust.

W obozie nie byliśmy szczególnie pilnowani, na samym początku wskazano na położenie i dano do zrozumienia, że ucieczka nie jest możliwa, bo jeśli nie zginiemy w odmętach wody to z pewnością nie przeżyjemy trudów związanych z pokonaniem drogi w tajdze. Latem pełna ona była zdradliwych bagien, meszek i komarów, natomiast zimą bez broni i żywności nie było żadnych szans przetrwania i pokonania ogromnych odległości. Nawet, jeśli jakimś cudem udałoby się dotrzeć do siedzib ludzkich, szpicle szybko i tak donieśli by do NKWD. Z tego co wiem, nikt z naszego transportu nie zaryzykował ucieczki.

Początkowo wielkim dla nas zaskoczeniem była bardzo długa noc, trwająca o wiele godzin dłużej niż w Polsce. Zapadała nagle i była bardzo ciemna. Nieco inaczej było, gdy na niebie pojawiał się księżyc a niebo pozostawało bezchmurne. Nie mogłam obserwować gwiazd, bo nocą rodzice nas nie wypuszczali, ale z opowiadań starszych wyobrażałam sobie rozgwieżdżone niebo, którym dorośli się zachwycali. Widziałam przez malutkie okienka jakby różową poświatę na niebie, była to zorza polarna. Gwiazdy i księżyc oświetlały bardzo wyraźnie śnieg leżący wokół baraków, który mienił się srebrnymi barwami. Byłam tymi zjawiskami zafascynowana. Mogłam godzinami patrzeć

i snuć w maleńkiej, dziecięcej główce swoje marzenia, o których oczywiście wkrótce zapominałam. Diametralnie różna była sytuacja w okresie białych nocy, kiedy słońce nie zachodziło za horyzont. Spać było trudno, bo za oknami widno, a jak tylko pojawiliśmy się w łóżkach to następował atak pluskiew.

Rodzice wykonywali różne prace, mamusia opowiadała o swoich zmaganiach podczas wyrębu tajgi. Ścięte przez pilarzy drzewa, kobiety musiały tak przygotować, aby można było z nich utworzyć drogę. Czyli najpierw musiały te wielkie drzewa pozbawić konarów i gałęzi. Były to drzewa iglaste, więc szpilki uparczywie wbijały się w skórę, pozostawiając rany. Wszystko, co pozostawało po osieczaniu konarów należało spalić. Zimowe ognisko wbrew pozorom było bardzo niebezpieczne. Trzeba było wykazać się dużym hartem ducha, aby nie poddać się pokusie ogrzania przy ciepłe ognia, bo po odejściu od źródła ciepła wchodziło się w obszar 40 stopniowych mrozów. Można sobie wyobrazić to spustoszenie, które wyrządza mróz na rozgrzanym cieple. Później te wielkie pnie cięte były na mniejsze odcinki. Posortowane kłody układane były wzdłuż budowanego traktu drogowego w poprzek, potem wzdłuż i ponownie w poprzek. Część ściętego drzewa latem spławiano Dwiną, doskonale pamiętam tę rzekę, bo zimą chodziliśmy się na niej ślizgać, a latem po tych zanurzonych kłodach skakaliśmy. W tym samym czasie tatuś pracował przy budowie linii elektrycznej do Archangielska.

Z tamtego okresu doskonale pamiętam starania rodziców i nasze o zdobycie pożywienia. Zgodnie z opracowanymi przez Rosjan normami, dla pracującego przypadało 0,5 kg chleba, a dla dziecka po 200 g i dodatkowo raz dziennie zupa. Zupa to był wywar z warzyw, czyli brukwi, kapusty i ziemniaków. Więcej w niej było wody niż dodatków, ale i tak codziennie cieszyła się nieślabnącym zainteresowaniem i była celem marzeń. Posiłek ten przygotowywany był w oddzielnej kuchni, ale ponieważ nie było w niej stołówki, więc chodziliśmy po nią z różnymi pojemnikami. Nawet, jeśli miałam duży i tak dostawałam przydzieloną porcję, nie dało się oszukać kucharek. Wiadomo, że ta ilość nie zaspokajała głodu. Trzeba było troszczyć się o zdobycie dodatkowego jedzenia. Mama dużo rzeczy przywiezionych w transporcie sprzedawała za jedzenie, nawet ślubne, złote obrączki. Ale to i tak nie zabezpieczyło nas przed głodem. Latem było lżej, bo tajga obfitowała w jadalne owoce. Na jej obrzeżach pojawiały się także pokrzywy. Po zimie był to wspaniały zastrzyk witamin, ale rywalizacja o nie była zacięta i bardzo szybko zniknęła. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że w odległości około 3 km można je jeszcze spotkać, wybrałam się po nie sama, ale gdy spotkałam grupę rosyjskich wyrostków wyzywających mnie od polskich świń, szybko zrezygnowałam z poszukiwań i wróciłam biegiem do domu. Do naszych dziecięcych obowiązków należało zbieranie żurawiny, jagód, szczawiu. Pamiętam, że największe poziomki znajdowałam na rosyjskich cmentarzach. Z lasu przynosiliśmy grzyby wełnianki. Przez większość Rosjan uznawane były za trujące, ale mama i inne kobiety po obgotowaniu i zakiszeniu zimą wykorzystywały je do przygotowywania posiłków. Nie pamiętam, aby z tego powodu ktoś skarżył się na ból brzucha. Na brzegach rzeki znajdowaliśmy dziką czerwoną i czarną porzeczkę. Tubylcy czarną nazywali *smorodina*. W nadbrzeżnych zaroślach królowała także malina. Zbieraliśmy nie tylko owoce, ale także łodygi, które suszyliśmy i podczas zimy mamusia przygotowywała nam z nich wywar do picia, pachniał wyśmienicie.

Był czas, że mama nie pracowała, wtedy całą trójką chodziliśmy z nią do lasu i z brzozy cięliśmy gałązki, takie witki. Układaliśmy je później w pęczki, a ponieważ Rosjanie we wsi hodowali kozy, to takie ususzone miotełki stanowiły dla nich zimową karmę. W zamian za te pakiety otrzymywaliśmy zazwyczaj trochę kartofli. Gdy był duży mróz i Dwina zamarzała, Rosjanki mogły przejść przez rzekę i wymienić żywność na ubrania. Za jedną sukienkę z UNRY można było otrzymać mleko, twaróg i ziemniaki.

Zdobycie czegoś do jedzenia było najważniejszym zadaniem, nie cofano się przed czynami uznawanymi za naganne, ale żeby przeżyć musieliśmy kraść. Formy tych czynów były różne. Gdy tatuś stróżował i pilnował pola z ziemniakami, wykorzystywaliśmy siostrę, aby odwracała jego uwagę, a my w tym czasie schylieni, aby nas nie widział podbieraliśmy ziemniaki. Pewnego dnia, gdy się zorientował, jaką to straszną „zbrodnię” robimy, to krzyczał na nas, że go do kryminału zamkną. Jak głód dał się nam naprawdę tak we znaki, że mało co nie przypłaciliśmy tego życiem zdobył się na akt odwagi i zaryzykował. Na wiosnę, gdy zatrudniony był przy zasiewach zbóż, mamusia zawiązała mu sznurkiem kalesony na wysokości kostek. Dzięki temu przez kilka dni przynosił do domu po 2-3 garście jęczmienia lub owsa, które później rozcierało się w moździerz. Takim rozartym zbożem zasypywało się wywar z ostu lub pokrzyw i tak powstały klej zjadaliśmy ze smakiem. Tylko jeden raz dotarła do nas paczka z żywnością od babci i jakoś udało się kolejne dni przeżyć. Gdy całą trójką byliśmy chorzy, najstarszy brat ukradł ze stołówki nieco prowiantu przeznaczonego na obiad, a innym razem 2 worki mąki z piekarni. Latem korzystaliśmy także z możliwości zdobycia mięsa rybiego. Najczęściej to brat zajmował się połowem, ja byłam za mała do tego procederu. Połów odbywał się nocą, nie wiem, dlaczego nie można było łowić ryb w ciągu dnia? Na haczyki zrobione z drutu i zawieszzone na sznurkach łowiono w Dwinię ryby, którymi zjadaliśmy się. Wiem, że część dorosłych zesłańców w poszukiwaniu pożywienia zakładała wokół obozu wnyki na drobną zwierzynę, ale odbywało się to w wielkiej tajemnicy. Tatuś nigdy nie wspominał, że pozyskał w ten sposób jakiegoś zwierzaka. Ryzykowano także utopieniem się przeszukując nadbrzeżne szuwary w poszukiwaniu ptasich jaj.

Latem, chyba 1940 r. nie pamiętam dlaczego, kazano nam opuścić zamieszkały barak i przenieść się do innego, mniejszego, położonego nad wielkim i niebezpiecznym urwiskiem. Obawialiśmy się, że jak przyjdą wiosenne wysokie stany wody mogą podmyć brzeg i nasz barak wpadnie do wody. Byliśmy już świadkami tego jak zachowuje się rzeka, gdy nadchodzi wiosna i puszczają lody. Pękaniu pokrywy lodowej i tworzeniu się kry towarzyszył wielki huk, tatuś mówił, że ten hałas podobny jest do armatnich wystrzałów. Początkowo olbrzymie tafle lodu poruszały się wolno wzdłuż koryta rzeki, ocierały się o siebie, zaszębiały, dobijały do brzegów, zachodziły jedna na drugą i tworzyły zapórę dla kolejnych lodowych partii. Oglądaliśmy to piękne zjawisko z ogromnym zaciekawieniem, ale także i strachem. W miarę jak kra topiła się od wiosennego słońca i stawała się mniejsza, nurt stawał się szybszy, podnosił się stan wody zalewając położone w dolinie rzeki niższe tereny nadrzeczne.

W baraku, w którym przyszło nam zamieszkać pokoje znajdowały się po obu stronach wąskiego korytarza. Nadal normą dla jednego pokoju było umieszczanie w nim 2-3 rodzin. W naszym przypadku na powierzchni około 16 m² zamieszkały 3 rodziny. Żeby się zmieścić spaliśmy po 3-4 osoby w jed-

nym łóżku. Dla jednego z deportowanych nie było już miejsca, z konieczności musiał spać na korytarzu, to było jego mieszkanie.

W jednej z takiej przydziałowej rodziny mieszkającej razem z nami znalazł się Polak lub Białorusin, który szpiclował i donosił do władz obozowych. Jego zachowanie wszyscy odbieraliśmy jako niemoralne, dlatego nikt z nas specjalnie nie zmartwił się, gdy pewnego dnia został aresztowany. Jego historia nie warta byłaby wspomnienia gdyby nie fakt, że wraz z nim zesłana została jego córka z pierwszego małżeństwa. Gdy owdowiał, ożenił się po raz drugi i z tego związku również miał córkę. Od czasu jego zatrzymania, żona stała się dla swojej pasierbicy prawdziwą macochą, uznawała i opiekowała się tylko swoim dzieckiem. W pewnym momencie zareagowały inne kobiety żądając szacunku dla sieroty, ale nie można było jej przekonać do zmiany postępowania. Mimo trudnej sytuacji starano się ulżyć pozostawionemu bez opieki dziecku. Moja mama i sąsiadka na zmianę czyściły jej włosy, bo tak bardzo była zawszawiona, mimo że co tydzień jak wszyscy chodziła do łaźni i w specjalnej komorze ubrania poddawane były dezynfekcji. Od czasu do czasu wspomagaliśmy ją jakimś kawałeczkiem chleba. Później nasze losy rozdzieliły się.

W okresie kiedy mieszkaliśmy w baraku nad rzeką, na zimę trzeba było zgromadzić opał. Mimo niedalekiej odległości od tajgi lokalizacja naszego baraku była niekorzystna i było bardzo trudno go pozyskać, ale pewien zapas udało nam się zgromadzić. Pod koniec zimy okazało się, że nie mamy czym palić. Brat korzystając z okazji przyniósł do pieca trochę zgromadzonego kołchozowego drewna. Za tę kradzież odpokutował tatuś, bo zgodnie z zaleceniem Stalina nie można było karać dzieci. Chyba przez miesiąc tatuś w dzień pracował, a nocą siedział w kozie.

Okres letni to czas zabaw na terenach przyległych do obozu. Nas dzieciaków było dużo. W czasie, gdy starsi pracowali, my zwykle pozostawaliśmy bez nadzoru. Dni mijały nam na zabawach, czasami pomagaliśmy sprzątać baraki, zbierać opał. Niektóre zabawy były typowe, jakieś kije, biegania, skoki, taplanie się w wodzie, drobne bijatyki i włóczęgi po nadbrzeżnych łąkach. Ale czasami fantazja nieco przekraczała granice zdrowego rozsądku. Też byłam ofiarą takiej nieprzemysłanej eskapady. Z zaprzyjaźnioną koleżanką i kolegą wzięliśmy siekierę i poszliśmy na skraj lasu. Nie wiem, w jakim celu rąbaliśmy drzewo i jak to się stało, że siekiera zahaczyła o mój palec. Nie czułam bólu, ale kiedy z przeciętej rękawiczki zaczęła kapać krew z krzykiem pobiegłam do domu. Mamusia wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do felczerki, a gdy ta połała mi ranę jodyną to mój wrzask słychać było chyba w całym obozie i jeszcze w pobliskim sowchozie. Co spojrzę na swój nieco zniekształcony palec to uśmiecham się na to wspomnienie, choć pamiętam, że w trakcie kolejnych opatrunków wykonywanych już przez mamusię wcale nie było mi do śmiechu. Oczywiście nikt z tego powodu nie poniósł żadnych konsekwencji.

Latem nie zapuszczaliśmy się w głąb tajgi, bo im było cieplej tym natrętniejsze był maleńkie owady – meszki. Gdy tylko mijaliśmy pierwsze drzewa, pojawiały się całymi chmurami. Wpychały się wszędzie, atakowały nie tylko twarz, oczy, nos, ale wchodziły za nasze lice ubrania i tam miały do dyspozycji całe dziecięce plecy, brzuch, pośladki. Kąsały boleśnie, po nakarmieniu się naszą krwią na ciele pojawiała się swędząca opuchlizna. Rodzice opowiadali, że

takie muszki, które atakują zwierzęta masowo, potrafią zabić małego cielaczka. Nie wiem, czy to była prawda, czy tylko dla nas przestroga, ale po pierwszym kontakcie z meszkami, wcale nie trzeba nas było straszyć.

Zimą zazwyczaj siedzieliśmy w domu, mrozy dochodziły do minus 40 stopni, jak tu wyjść skoro nie ma głównie butów i odzieży. A ponadto, co można robić, gdy wszystko wkoło zamrożone? Rodzice ten zimowy, chwilowy odpoczynek od ciężkich prac wykorzystywali do wyplatania tzw. łapci, ale nie były to typowo rosyjskie łapcie wykonywane z lipowego, topolowego lub wierzbowego łyka. Surowcem była słoma. Różniły się także kształtem. Pęczek słomy dzieliło się na 3 części i zaplatało je tak jak dziewczęce warkocze. Z warkoczy formowano podeszwę, potem wykonywano oplot stanowiący zabezpieczenie kostki i w zależności od potrzeb kończono na jej wysokości lub łydki. W takich łapciach biegaliśmy po śniegu, ale nie pamiętam na jak długo nam wystarczały.

Gdy nadchodziły cieplejsze okresy, starsi chłopcy przygotowywali dla nas specjalny kierat, do którego przywiązywano sanki i zaczynała się karuzela. Kręcili nią z różną prędkością, śmiechom i wrzaskom nie było końca. Każdy chciał wirować z dużą szybkością. Dla naszych zimowych zabaw sanki robił nam tatuś lub starszy brat wykorzystując drzewo wierzbowe.

Do czasu agresji niemieckiej na Związek Radziecki brat i siostra chodzili do szkoły. Pamiętam, że był to duży dom ludowy, a w nim duża sala. W niej, nam najmłodszym dzieciom zrobiono zabawę noworoczną i rozdano paczuszki z cukierkami w postaci poduszeczek. Nie było ich dużo 7- 8 sztuk, ale było to tak niezwykle, że utrwaliło się w mojej pamięci. Były dziwnie opakowane, jakby zapakowane i zaklejone. Cukierki nie były duże, miały czerwone lub zielone kreseczki i owocowy smak. Teraz czekolada tak nie smakuje jak wtedy te szklane cukierki. Nauczyciel powiedział nam, że jest to dar od Stalina.

W naszym obozie oprócz baraków dla Polaków znajdowały się pomieszczenia, w których Rosjanie przetrzymywali estońskich oficerów. Ich los musiał być bardzo ciężki, musieli być okrutnie traktowani, bo nocami dochodziły do nas jęki. Dwóch z nich nie wytrzymało tortur i powiesiło się. Tak trudnych warunków nie wytrzymał również wysiedlony razem z nami dziedzic z Wierchowic, pamiętam go jak lekko przygarbiony, nad ogniskiem usilnie starał się pozbyć wszy. Mieszkał w innym niż my baraku. Gdy ja sięgam pamięcią, był samotnym, starym mężczyzną, ale wiem, że został deportowany razem z żoną. Żona zmarła i od tamtego czasu nie mógł sobie poradzić z codziennymi trudami, zdobyciem pożywienia. Polacy starali się go wspierać, kobiety od czasu do czasu prały mu te strzępy, które nazywano ubraniem, jeśli mogły to dokarmiały. Nie wiem, co się z nim dalej działo, zmarł czy wrócił do Polski. Słyszałam rozmowy dorosłych, którzy litowali się nad jego losem, losem człowieka niedoświadczonego ciężkiej pracy, nawykłego do wygod i zarządzania. Nie był typem wyzyskiwacza, a wręcz przeciwnie ludzie z dworu szanowali go i darzyli zaufaniem.

Ludzie umierali stale, czasami, dziennie po 2-3 trumny wywożono do lasu. Zimą, gdy mrozy dochodziły do minus 50 stopni, trumny te pozostawiano w lesie, aby wiosną, gdy ziemia odtajała wykopać groby i pochować nieboszczyków. Nie omijały nas również choroby. Po sobie wiem, na czym polega kurza ślepoty i co to znaczy nic nie widzieć o zmierzchu. Siostra miała większe problemy niż ja, bo zaczęło jej zachodzić bielmo na oczy, czyli taka błonka utrudniająca

widzenie. Gdy żadne leki i krople przepisywane przez felczera nie pomagały zostały tylko domowe sposoby. Sąsiadki wiadomym sobie sposobem zdobywały nieco cukru, który rozcierany był na pył i nim zasypywano siostrze oczy. Po tym jak bardzo wrzeszczała i że trzymała ją za ramiona dwóch mężczyzn domyślałam się tylko jak wielki ból musiała znosić. Bardzo jej współczułam.

Gdy w kwietniu 1943 roku rozpoczęło się formowanie polskiego wojska bardzo dużo deportowanych Polaków zaciągnęło się do tworzonych oddziałów, w tym mój brat wraz ze swoim kolegą Kitajewskim. Rodzice nie sprzeciwiali się decyzji syna, tatuś powiedział, idź, walcz. Nie pamiętam momentu pożegnania, z resztą nie rozumiałam bardzo wielu rzeczy. W pół roku później brat uczestniczył w bitwie pod Lenino, w której został ranny. Opisując w liście do rodziców przebieg walk, stwierdził, że nie zapomni jej do końca życia. Jak się potem okazało było to bardzo krótkie życie, niespełna siedemnastoletnie. Drugi list, który dotarł z frontu donosił o jego śmierci w szpitalu polowym. Pamiętam, że mamusia bardzo długo płakała.

W 1944 r. nakazano nam opuścić obóz. Rodzice nie znali powodów. Do Archangielska dopłynęliśmy statkiem, później wieziono nas pociągiem. Przed wyjazdem otrzymaliśmy paczki. Chyba Amerykanie je przysłali. Były w nich jaja i mleko w proszku oraz jakieś mięso. Mówiono, że były to małże, ale i tak podczas podróży pociągiem wszystko zniknęło, bo innego prowiantu dla nas nie zabezpieczono. Po drodze mijaliśmy polskie wojsko maszerujące na front a w Archangielsku rodzice na krótko spotkali się z siostrą tatusia, która przesiedlana była w inne miejsce.

Z obozu nad Dwiną zabrali nas wszystkich, ale już nie wszystkich razem osiedlili. Nas dowieziono do miejscowości Boryń, 80 km od Smoleńska. To właśnie w tym rejonie wymordowano polskich żołnierzy wiosną 1940 roku, ale nie mogliśmy nic na ten temat mówić, a nam powtarzano, że zrobili to Niemcy. Wieś posiadała stację kolejową. Nas w kołchozie i zajęliśmy miejsca osób, które zostały wysiedlone w inne regiony. Smutno nam było, gdy widzieliśmy te wyjeżdżające rodziny z całym dobytkiem i inwentarzem. Dorośli wiedzieli, jaki ich los czeka, ale tubylcy wyjeżdżali pełni planów i perspektyw lepszego życia.

Początkowo rozlokowano nas w małych domkach, tradycyjnie po kilka rodzin w jednym pomieszczeniu. Później przeniesiono nas do pałacu. Była to duża rezydencja zarekwirowana po rewolucji październikowej. Przed naszym przybyciem stacjonowało w nim przez kilka dni wojsko polskie. Po ich obecności pozostał ułożony z polnych kamieni orzeł polski w koronie.

Zamieszkaliśmy w jednej z dużych sal na piętrze, siedemnaście rodzin poprzez odpowiednie ustawienie drewnianych łóżek wydzieliły swoją przestrzeń mieszkalną z wąskim przejściem. Na łóżkach nie było sienników, wyłożone były słomą i przykryte jakimś płachtami. Tutaj także nie ustrzeżliśmy się insektów, ale dominowały nie pluskwy jak na północy, lecz pchły. Na środku sali znajdował się wspólny piec. Kuchnia i zaplecze kuchenne znajdowało się na parterze. Niestety łaźni nie było, myliśmy się w miskach.

W tych nowych warunkach na Ukrainie, początkowo żyło nam się nieco lepiej. Przede wszystkim zimy były łagodniejsze, nie było tak silnych mrozów, no i lato nie trwało dwa miesiące. Nie musieliśmy także już żywić się pokrzywami i tym, co znajdziemy w naturze. Nie było smakołyków, ale było łatwiej zdobyć jedzenie. Tutaj nie musieliśmy walczyć o przeżycie. Na parterze znajdowała

się stołówka, z której korzystaliśmy trzy razy dziennie, a w zupie od czasu do czasu pływało jakieś mięso. Kołchoźnicy posiadali około 15-20 arowe działki, mogli hodować krowy, a mleko zdawali do mleczarni. W dalszym ciągu przychodziły paczki z UNRY i za ubrania, które wymienialiśmy z Rosjanami otrzymywaliśmy mleko, przetwory mleczne, ziemniaki. Z dyni i gotowanych kartofli mama robiła wyśmienite kluski na mleku. Mamusia pracowała w ogrodnictwie przy uprawie warzyw i dzięki temu, że brygadzysta był normalnym człowiekiem czasami pozwalał po kryjomu wynieść pomidora lub jakieś inne warzywo. Jednego roku nadmiernie obrodziły ogórki, wystarczyło dla nas wszystkich przywiezionych do kołchozu jak również dla krów, które doszczętnie je wyjadły.

Mimo, iż miałam już 8 lat mamie udało się mnie jeszcze zapisać do przedszkola, do którego chodziłam przez rok. W przedszkolu były dzieci rosyjskie i polskie a przedszkolanka sprawnie władała obydwoma językami. Po zakończeniu wojny już nie można było rozmawiać po polsku. Na wycieczki chodziliśmy do pałacowego parku, wędrując alejkami mijaliśmy piękne szpalery drzew ozdobnych, a w sadzie dorodne maliny, jabłonie, ale nie można nam było nic dotknąć. Na ten widok dosłownie oczy nam wychodziły na wierzch nie mówiąc o zbierającej się w ustach ślinie. W pobliskim stawie, w którym kobiety sprawnie wymachując kijankami prały codzienną odzież, moja przedszkolanka podczas zabaw w wodzie uczyła mnie pływać. Niestety, byłam chyba mało pojętną uczennicą, bo nie nabyłam tej sprawności. W pobliżu, oprócz głębokich na około dwa metry torfiarek było kilka mniejszych strumyków, dzięki nim łatwo nam było latem utrzymać higienę.

W naszej grupie przedszkolnej przebywał polski głuchoniemy chłopiec. Został deportowany tylko z mamą, bo ojciec walczył na froncie. Z tego powodu, że nie mówił i nie słyszał trudno mu było funkcjonować wśród dzieci. Lubiliśmy go, bo był bardzo uczynny, grzeczny i bardzo się starał pozyskać naszą sympatię. Podczas jednej z akademii powiedział po swojemu wiersz, oczywiście były to dźwięki zrozumiałe tylko dla niego, ale uzupełnione mimiką i gestykulacją. Byliśmy dla niego wszyscy pełni podziwu i głośno biliśmy mu brawo.

W pierwszym roku pobytu, tym lepszym, gdy skończyły się żniwa pozwolono nam pozbierać na własne potrzeby pozostałe na polu kłosa zbóż. Uzyskane ziarno ucieraliśmy w młynku i powstała grubo zmielona mąka. Rok później większą część zebranych kłosów musieliśmy niestety oddać do kołchozu.

Każdy z nas miał zajęcie, siostra bawiła dziecko u pani doktor, później, gdy ta wyjechała do Kijowa, bawiła inne u enkawudzisty. Brat jeździł telegą, takim cztero kołowym wozem gospodarczym i dowoził wodę na pole oraz wykonywał lżejsze prace polowe, a tatuś stawiał piec.

Nie pamiętam, aby w pierwszym obozie na Syberii można było uczestniczyć w obrzędach religijnych, ale po przyjeździe do Borynia w odległości około czterech km funkcjonowała jeszcze cerkiew. My Polacy, korzystaliśmy z możliwości, że była również dla nas otwarta i bardzo często w niedzielne przedpołudnia uczestniczyliśmy we mszy w obrządku prawosławnym. Pamiętam, że dwukrotnie byłam w niej z mamą. Z opowiadań mamusi wiem, że podczas pierwszego pobytu byłam pod wielkim wrażeniem jej wielkości, ogromu złoceń i bogatych zdobień. Pamiętam także moje wielkie zdziwienie, kiedy zobaczyłam, że pop w miseczce ma małe kawałki chleba. Spojrzałam na mamusię,

a ona kiwnęła głową, że mam tą okruszynę chleba włożyć do buzi. Niestety, wkrótce cerkiew została zamknięta i przekształcona w magazyn. Wracając do wspomnień związanych z tradycjami religijnymi, nie pamiętam, czy obchodziliśmy wigilię lub święta wielkanocne. Dla nas świętem był czas, gdy rodzice przynieśli produkty spożywcze i nie odczuwaliśmy głodu.

Rok 1945 to nie tylko zakończenie wojny, ale także ważny moment dla naszej rodziny, bo powiększyła się ona o narodzonego w szpitalu *krasnaja swoboda* braciszka i niestety pogorszenie warunków życiowych w związku z nową polityką Stalina. Powoli zaczynały się kłopoty żywieniowe, bo również kołchoźnikom zaczęto stopniowo odbierać przywileje np. przydziały działek. Zaczęto reglamentować żywność. Kołchoźnicy musieli oddawać mleko do mleczarni a to utrudniło rodzicom sytuację, bo po urodzeniu się braciszka, nie było dla niego mleka i musieliśmy starać się o mleko kozie. Po urodzeniu dziecka władze kołchozu przeznaczyły nam inne lokum, aby małemu synkowi było lepiej, tym razem był to oddzielny pokój w domu z innymi dwiema rodzinami. Pod jednym względem była to niekorzystna zamiana – nie było w pokoju pieca a skroplona para wodna płynęła po szybach i ścianach. Panowała wilgoć.

Mamusia miała piękny głos, ale na zesłaniu śpiewała tylko usypiając braciszka, a kołysankami były pieśni religijne. W związku z tym przypomniła mi się zasłyszana rozmowa, podczas której jedna z Ukrainek, której syn zginął na froncie dziwiła się, że mamusia może śpiewać nie oplakując swojego poległego dziecka. Na to druga kobieta jej odpowiedziała, „Pałdynka już swoje wypłakała, a teraz siedzi i śpiewa. Śpiewa kościelne pieśni więc na pewno jest jej ciężko.”

Przed głodem ratowały nas jeszcze zdolności wróżbiarskie tatusia. Od początku pobytu na Ukrainie wyrobił sobie pozycję wróżbity czytającego karty, wystarczyło tylko, że kilkakrotnie trafnie odczytał i przepowiedział przyszłość a ludzie nabrali do niego pełnego zaufania. Oczywiście za wróżbę nie płacono rublami, tylko tym, co było w domu, czyli śmietaną, mlekiem, masłem, mąką, chlebem, ziemniakami.

2 lutego 1946 r. dowiedzieliśmy się, że możemy wracać do Polski. Pamiętam radosne podskoki, wybuchy śmiechu i wzajemne uściski. Poczekaliśmy jeszcze około 2 tygodnie na wyrobienie niezbędnych dokumentów. Powrót do Polski obejmował wszystkich Polaków przewiezionych do kołchozu na Ukrainie. Zostać musiała tylko jedna z rodzin, gdyż ich córka wyszła za mąż za wojskowego Rosjanina i nie dostali pozwolenia. Rozpacz była ogromna, ale po długich staraniach udało się przekonać władze i dołączyli do transportu.

Z tamtego okresu niewiele pamiętam, w swojej pamięci nie mogę odtworzyć obrazów związanych z pakowaniem się, drogą. Z podróży pamiętam tylko duże, miękkie, białe bułki, które na jakimś postoju zostały zakupione.

Tatusz przyrzekł sobie, że jak wróci do Polski z całą rodziną to nie zapomni podziękować Panu Bogu za opiekę i będzie otwarty na potrzeby kościoła. Ja to zobowiązanie wypełniłam do końca i złożyłam składkę na remont kościoła w Zwierznie.*

* Wspomnienia uzupełniane opowiadaniem rodziców i rodzeństwa.